

Kosmos pachnie kobietą

tekst: Anna Theiss
foto: Kobas Laksa

– Grałem już prawie wszystko – mówi Leszek Moździerz. Teraz ma ochotę na eksperymenty, choćby miał je robić boso i w wąsach. Eksperymentuje nie tylko z muzyką, ale i z kapustą. Nie ma zamiaru ginąć na ołtarzu sztuki

Utalentowany i wszechstronny. Z taką samą łatwością przychodzi mu granie z raperami z rodzimego podwórka, co występy w Carnegie Hall. Przyznaje, że w pewnych sprawach jest bezkompromisowy. Ostro zaprotestował, kiedy chcieliśmy sfotografować go przy fortepianie z kobiecymi nogami. – To nieuprzejme wobec kobiet – uciąć im nogi i przystawić w Photoshopie do fortepianu. Jestem przeciwko instrumentalnemu traktowaniu dziewcząt – skarcił nas. A potem zapewnił, że chętnie opowie o swoich przemyśleniach na temat kobiecości, mody i meandrów rynku muzycznego. Leszka Moździera udało nam się przeprosić w jego wrocławskim mieszkaniu, w pałacowych wnętrzach starej kamienicy. Na początek uraczył nas historyjką o polskich paparazzi: – Ostatnio ktoś schował się z aparatem w krzakach na Kazimierzu. Zrobił mi zdjęcie, akurat kiedy siedłem z przyjaciółką pod rękę. Pytałem nawet, ile takie zdjęcie jest warte – okazało się, że 20 złotych. Myślę, że gdybym był w samych majtkach, to zdjęcie warte byłoby już 40 złotych. Nam obiecał odpowiadać szczerze, ale bez zdejmowania desusów.

Prywatnie robisz takie wrażenie, że co bardziej wrażliwym dziewczętom mięknią kolana. Mówi się, że fanki po prostu cię napastują. Do tej pory groupies lgnęły przede wszystkim do basistów, a nie do muzyków jazzowych...

– Wydaje mi się, że fajne dziewczyny są nieśmiałe i stronią od takich sytuacji. Natomiast dziewczyny niefajne mnie nie interesują i im nie poświęcam żadnej uwagi. Ruch tak zwanych groupies jakoś szczególnie mnie nie dotknął. Funkcjonuję w zamkniętym środowisku moich znajomych, nie wytwarzam wokół siebie atmosfery gwiazdy. Może dlatego nie docierają do mnie sygnały natrętnych wielbicieli. Szczerze mówiąc, jakoś nie chce mi się wierzyć w to, co mówisz.

To prawda, że twoja dziewczyna zwracała się do Ciebie per „skarpeta”?

– Tak. Ale to dawne dzieje. Teraz jestem „mędzik”.



Walczę o autentyczność za fortepianem, w przeciwnym razie moje życie stałoby się jakimś koszmarem

Nie protestujesz? Nie czujesz się ciemnięzony przez matriarchat?

– Nie. Dla mnie Ziemia jest kobietą. Jako płód ludzki przebywałem w środku kobiety. Nie oszukujmy się – wychodzimy z kobiety, a potem wszystko ma dla nas jej zapach, wszystko się z nią kojarzy. Kosmos też ma dla mnie zapach kobiety.

A fortepian?

– Każdy instrument ma swoją osobowość. Klasyfikuję go według tego, czy jest dla mnie przyjazny, czy nieprzyjazny, czy jest obcy, czy miły, czy twardy, czy miękki, czy jest spolegliwy, czy nie. Można te cechy umownie podzielić na męskie i kobiece, wtedy możliwe jest rozróżnienie fortepianów męskich i kobiecych. Ten, który stoi tutaj, jest kobiecy.

W tej chwili pracujesz nad musicalem dla wrocławskiego Teatru Capitol.

– Tak, chociaż to raczej przyjemność niż praca. Jedyne napięcie przy tego typu działalności wiąże się z oddaniem muzyki w terminie. Musical nosi tytuł *Śmierdź w górach*, skomponowałem do niego trzy piosenki. Jestem również kierownikiem muzycznym, moja praca polega na tym, żeby przyjść i powybrzydzać trochę, że coś jest źle zagrane i żeby zagrać to lepiej.

W opisie projektu możemy przeczytać, że rzecz dotyka odwiecznego dylematu, czy tworzyć coś, co się podoba, czy iść dalej. Jak ty radzisz sobie z tym problemem?

– Coraz gorzej. Mniej niż kiedyś mogę pozwolić sobie na eksperymenty, bo coraz więcej kamer filmuje moje działania i coraz większe pieniądze są w nie zaangażowane. Sponsorzy poszukują spektakularnego sukcesu, producenci również naciskają, żeby płyta nie była gorsza od poprzedniej. A eksperyment to loteria. Próby robienia czegoś nowego i niesprawdzonego wiążą się z ryzykiem. Myślę, że już niedługo będę musiał robić takie rzeczy trochę po cichu, na uboczno.

PAN STOPA

Jesień 2001. Leszek Możdżer wraz z Grammatikiem i Fenomenem nagrywa kawałek do filmu *Blokery* Latkowskiego. Słowa „Każdy ma takie chwile, że wątpi / Że się zastanawia, czy dobrze postąpił” i muzyka Możdżera towarzyszą obrazkom z życia wielkich blokowisk, a potem trafiają na hitową składankę. Numer doczeka się również klipu łączącego wizualnie trzy wątki: raperów nagrywających w studio, pianisty błędzącego po lesie oraz rozpaczliwej stręczony przez łysego osiłka dziewczyny.

Myślałeś o jakimś muzycznym alter ego?

– Marzę o tym, żeby przebrać się za kogoś innego, przyczepić sztuczną brodę, wąsy, założyć okulary i tworzyć muzykę pod pseudonimem. Mógłbym być na przykład Panem Stopą, kimkolwiek. Taka zmiana byłaby jednak trudna. Wypracowałem sobie wiele rzeczy, które „są Możdżerem”. Odsunięcie tego wszystkiego na bok, wyrzucenie po to, żeby zacząć robić coś innego, to spora strata. Chciałbym wykorzystywać cały wypracowany do tej pory arsenał środków i pozwalać sobie na jakieś eksperymenty, ot tak.

Możdżer to firma gwarantująca sukces nawet bardzo brawurowym projektom. Im bardziej popowo grasz, tym więcej ludzi cię kupuje. Niekoniecznie znaczy to, że znają się na muzyce.

– Mówiono mi kiedyś, że moja muza się nie sprzedaje, tymczasem moje płyty osiągają nakłady porównywalne z płytami z muzyką pop. Ale ja nie gram popu. Okazuje się, że jazz to nie jest ciekawostka przyrodnicza, którą interesuje się niewielka grupa dziwaków. Ludzie po prostu przychodzą posłuchać jak gram, i tyle. Nie wiem, czy znają się na







muzyce, czy nie. Nigdy nie upraszczałem swojego języka tylko po to, żeby lepiej się sprzedać. Owszem, szukam prostoty, ale zagrać prosto i bezbłędnie zgrabny temat jest o wiele trudniej niż wywalić na scenie pół godziny brudnej awangardy. Wiem, co mówię, bo siedzę w tym od lat.

Czerpiesz profity z tego, że się podobasz?

– Nie jestem pewien, czy akurat z tego, że się podobam. Mam rozpoznawalne nazwisko, na które zapracowałem. A dzisiaj nazwisko to taki sam majątek jak nieruchomości, samochody i inne atrybuty. Świat show-biznesu jest bezlitosny i potrafi takie nazwiska wykorzystać. Pewna marka alkoholu przyznała mi stypendium artystyczne. Dostałem piękny list oznajmiający, że zostanie mi wręczone pięć tysięcy dolarów, a w tym celu specjalnie przyjedzie pan prezes z Ameryki. Na wieść o tym, że na gali wręczenia nie mogą pojawić się osobiście, wycofano mi nagrodę. Nie będę udawał, że ten świat jest radosny i różowy.

Brand „Moździerz” to nie tylko muzyka, ale też emploi.

– Obserwuję innych artystów i staram się od nich uczyć. Wypracowanie sobie kontaktu z publicznością to praca na całe życie. Nie da się do końca oszukać słuchaczy. Na scenie trzeba robić to, na co ma się ochotę, bo tylko to ma sens. Odgrywanie etud aktorsko-muzycznych tylko po to, żeby dobrze wypaść, jest bardzo męczące. Walczę o autentyczność za fortepianem, w przeciwnym razie moje życie stałoby się jakimś koszmarem. W filmowych zapisach występów moich mistrzów, na przykład Michaela Tainera czy choćby Keitha Jarreta, też odnajduję tę walkę.

Wyjście na scenę boso jest lepsze niż zestaw typu czarny garnitur, czarne buty i brązowe skarpetki

BOSO, ALE W OSTROGACH

Wrzesień 2006. Leszek Moździerz występuje na gali festiwalu latynoamerykańskiego Polonia Carioca. Razem z brazylijskim perkusistą Nana Vasconcelosem podbija serca tłumnie przybyłej publiczności. Wieczór uświetniają żywiołowe występy latynoamerykańskich kandydatek do tytułu Miss World. Dziewczęta tańczą sambę.

Autentyczność jest na pewno lepsza niż dobrze udana kreacja?

Lester Bowie wymyślił sobie przekonującą rolę doktora.

– Lester Bowie dobudował do tej postaci całą filozofię – twierdził, że scena, na której gra, to laboratorium. Poza tym miał dwa proste wytłumaczenia, dlaczego występował w kitlu: lubił myśleć o sobie jako o naukowcu, a poza tym kitel zajmuje mało miejsca i łatwo go wyprasować. Po prostu nie gniecie się zbyt mocno.

A dla ciebie gniotliwość materiału ma jakieś znaczenie?

– Dla mnie nie, natomiast dla kamery – owszem. Dla mnie najważniejszy jest komfort. Bywały takie momenty, kiedy ubierałem garnitur i tuż przed wyjściem na scenę okazywało się, że kompletnie nie mam ochoty w nim grać, a innego nie mam. Na szczęście zawsze można wtedy wykonać jakiś manewr typu zmiana koszuli czy występy w marynarce na gołe ciało. Niejednokrotnie grałem też na boso, bo miałem złe skarpetki. Wyjście na scenę boso jest lepsze niż zestaw typu czarny garnitur, czarne buty i brązowe skarpetki.



Na przełomie lat 80. i 90. byłeś mniej bezkompromisowy w sprawach garderoby. W okresie, kiedy występowałeś z Mikołajem Trzaską, Tymonem Tzymańskim i resztą ekipy w nowo jazzowej Miłości, identyfikowano cię raczej z brudnym swetrem niż garniturem.

– Prawda jest taka, że byliśmy ubrani źle, ale każdy z nas starał się ubrać jak najlepiej. Nasz strój odzwierciedlał stan naszej świadomości.

W tym okresie specjalnie kupowałem białe barchanowe kamizelki, bo czułem, że to odpowiedni strój na scenę – i elegancki, i awangardowy. Od dziecka wpajano mi, że na scenie trzeba być w garniturze. W szkole muzycznej próbowano oddzielić dwa światy: świat muzyki klasycznej, którą gra się w garniturze, i świat muzyki jazzowej – trochę gorszy, mniej odświętny, z niższej półki. Dopiero wtedy, kiedy poczułem, że świat muzyki jazzowej jest równie uroczy, co świat muzyki klasycznej, zacząłem się ubierać w garniturze.

Tzymański ciągle pozostaje bliżej punkowych pierwoein.

– Zostałem zaakceptowany przez mainstream, bo byłem dla niego pożyteczny. Czytam nuty, jestem elastycznym muzykiem, potrafię zagrać różne rzeczy. Wykonuję pracę: kompozytora, pianisty, aranżera. Zarówno w awangardowych, jak i w mainstreamowych składach. Ani Tymon, ani Mikołaj nie skończyli szkoły muzycznej i nigdy nie zagrają w big bandzie. Mają za to wielką moc do tworzenia własnych, indywidualnych rzeczy. Nawet im czasem zazdroszczę tej wolności. Ja natomiast jestem trochę bardziej uniwersalny. Grałem już prawie wszystko, co paradoksalnie komplikuje mi sprawę ostatecznego wyboru co do tego, co rzeczywiście chciałbym grać. Spojrzałem na muzykę z tak różnych punktów widzenia, że nie potrafię jej krytykować.

JEŚLI DZISIAJ WTOREK, TO JESTEM W KRAKOWIE

Wrzesień 2004. Leszek Możdżer wraz z Adamem Makowiczem występuje w Carnegie Hall. Do spotkania wschodzącej gwiazdy z legendą jazzowej pianistki dochodzi z inicjatywy dyrektora Instytutu Kultury Polskiej w NY. Pryncypalowi którejś nocy śni się owacja po występie Możdżera na tle charakterystycznej czerwonej kotary. Wkrótce potem na rynku ukazuje się album z zapisem tego koncertu.

Marzę o tym, żeby przebrać się za kogoś innego, przyczepić sztuczną brodę, wąsy, założyć okulary i tworzyć muzykę pod pseudonimem

Co czujesz, widząc swoje zdjęcie w kolorowej gazecie, z podpisem „Leszek Możdżer w nowej fryzurze”?

– (śmiech) Spinam włosy, żeby mi nie leciały do oczu i tyle. Zawsze wtedy, kiedy błyska flesz, zastanawiam się, czy zrobi się ze mnie pajaca, czy kogoś szacownego. Tego nigdy nie wiadomo, bo wszystko zależy od podpisu. Do tej pory mam takie szczęście, że podpisy sugerowały, iż jestem fajnym gościem.

A po co ci połówka kapusty, o której dostępność pytasz na swoim internetowych forum?

– Zazwyczaj jestem w domu dwa, trzy dni, a całej główki nie jestem w stanie w tym czasie przerobić i zjeść. Kapusta psuje się i trzeba ją

wyrzucić. Poza tym lubię gotować. Co do przepisów – kiedyś pamiętałem kilka, ale zazwyczaj nie mogę ich sobie dokładnie przypomnieć, bo gotuję rzadko, więc szczegóły zacierają mi się w pamięci. Menu wymyślam na bieżąco. Zazwyczaj improwizuję i robię coś z produktów, które mam w domu. Kiedy układam plan zakupów, często zapominam o jakimś kluczowym składniku, który decyduje o kształcie potrawy.

Mieszkasz w trzech mieszkaniach, w trzech różnych miastach. Czy to nie jest trochę schizofreniczne?

– Najgorsza jest liczba kluczy, ciągle zapominam wziąć któregoś kompletu. Lubię czasem po przebudzeniu leżeć jeszcze trochę z zamkniętymi oczami i zgadywać, gdzie jestem. Trasy koncertowe to też nieustanna zmiana miejsc, tam się dopiero robi mętlik w głowie! Wolałbym czasem siedzieć w jednym miejscu, ale widzę, jak bardzo nie da się niczego zaplanować w życiu. Dojrzała relacja z bliską osobą przychodzi powoli i jest zupełnie inna niż to, czego się spodziewamy. Człowiek wymyśla sobie jakąś formułę na związek i próbuje wcielić ją w życie, ale okazuje się, że to w ogóle nie działa. Druga osoba jest nieskończonością i nieobliczalnym kosmosem. Nie da się jej w żaden sposób okiełznać ani przewidzieć. Szczepnie mówiąc, jestem na takim etapie, że odkrywam, iż w związku z kobietą można przeżyć bardzo głębokie emocje. Oczywiście, są to emocje absolutne przede wszystkim w momencie, w którym komuś dzieje się krzywda i dotykamy rzeczy trudnych. Nawet barwna erotyka nie dała mi takiej głębi przeżyć, jak takie czysto ludzkie sprawy, których dotknąć można przez głęboką przyjaźń.

Brzmi bardzo dojrzałe. Wcześniej nie miałeś czasu na takie przemyślenia?

– Zajmowałem się wyłącznie muzyką i to wydawało mi się najważniejsze. Myślałem o muzyce jako o dziedziczeniu życia, która nigdy mnie nie zdradzi, jest obliczalna i wymaga wierności, jeśli chce się coś w niej osiągnąć. Takie założenie okazało się nie do końca trafne. Przez to dogłębne poświęcenie zacząłem mieć na przykład kłopoty z kręgosłupem. Bez sensu jest kładzenie całego swojego życia na ołtarzu sztuki – to się po prostu nie udaje.

ORBITOWANIE BEZ CUKRU

Październik 2001. Leszek Możdżer komponuje muzykę do trans-opery *Sen nocy letniej* dla Teatru Muzycznego w Gdyni. Możdżer żeni muzykę klubową z jazzem, linie akompaniamentu wciągają publiczność w oniryczny trans. Reżyser nawiązuje do interpretacji Szekspira w duchu freudowskim. Jako gwiazda w spektaklu występuje Justyna Steczkowska.

W Polsce niewiele więcej możesz już osiągnąć. W tej chwili większej popularności mogłoby ci przysporzyć chyba tylko otwarcie własnej piekarni. Czy myślisz o wejściu na zagraniczne rynki?

– Już od dawna dostaję zagraniczne propozycje, grywam z muzykami z całego świata, ale poważna światowa kariera w mojej dziedziczeniu wymaga wielu lat pracy. Jeżeli moja sztuka będzie dobra i konkurencyjna, to świat sam się do mnie zgłosi. Wierzę, że pojawi się ktoś, kto będzie chciał zarobić na mnie trochę pieniędzy i wypromuje to, co robię. Zaczynam się już powoli pojawiać na międzynarodowej orbicie. Ale nie zapominam, gdzie mieszkam. Będę atrakcyjny dla świata, jeśli pozostanę lokalny. Wtedy będę odgrywał rolę egzotycznej lokalnej potrawy, a taka rola w pełni mi odpowiada. x